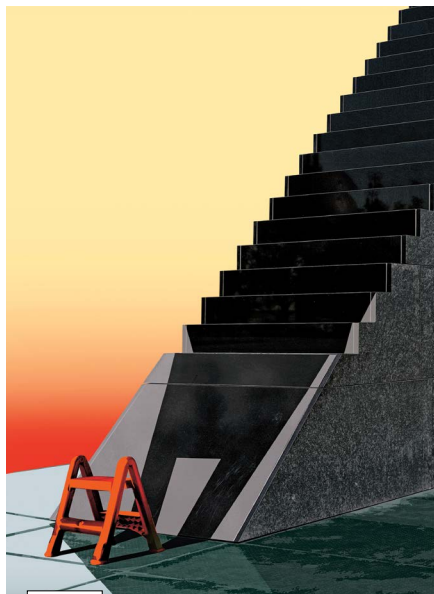




14 Rachunek
za Smoleńsk



30 Życie seksualne
Polaków



92 Czy Pułaski
była kobietą?

Tematy tygodnia

- 12 Joanna Cieśla
Nauczyciele – jednak strajk
14 Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
Kto odpowie za Smoleńsk

Polityka

- 18 Rafał Kalukin
Solidarność z władzą
22 Sławomir Sierakowski **Koalicja Europejska – wyjątek od reguły**
24 Ewa Siedlecka **Jak PiS próbuje rządzić sektorem pozarządowym**
27 Michał Sutowski **OGLĄD I POGLĄD O co toczy się ta wyborcza gra**

Społeczeństwo

- 30 Martyna Bunda **Seks Polaków**
34 Joanna Podgórska **Sąd skazał dziesięciolatkę na katechezę**
36 Jak rozpoznać depresję u dzieci – rozmowa z **Lucyną Kicińską**
39 Paweł Walewski **Transplantacje nerek – rzeczywistość przerasta serialową fabułę**

Rynek

- 42 Adam Grzeszak **Czego nie wolno kupować, a można**
45 Adam Krzemiński **Jak finansowy kryzys popsuł politykę**

Świat

- 50 Ziemowit Szczerek **UKRAINA Magik na prezydenta!**
53 Ludwika Włodek **ALGERIA Czy da się uniknąć wojny domowej**
56 Łukasz Wójcik **USA Peter Navarro – najpotężniejszy ekonomista świata**
58 Michał Górski **WŁOCHY Tak się łączą, że aż się podzielili**

Historia

- 60 Piotr Korczyński **Religijna wojna secesyjna**
64 Rafał Kalukin **Ciekawy pamiętnik z PRL**

Nauka

- 66 Grzegorz Rzeczkowski **Śledztwo smoleńskie: gazy i trucizny**
70 Edwin Bendyk **Nagrody Naukowe POLITYKI – rozpoczynamy 19. edycję**

Ludzie i style

- 72 Paweł Walewski **Architektura lecznicza**
75 Marcin Piątek **Kobiety z gwizdkiem**

Kultura

- 82 Piotr Sarzyński **Bauhaus – sto lat i ciągle inspiruje**
86 Aleksandra Żelazińska **Jak się nie czyta**
88 Rozmowa z **Magdaleną Grzebałkowską** o życiu i jazzie Krzysztofa Komedy
91 KAWIARNIA LITERACKA **Renata Lis**
92 Edwin Bendyk **Pułaski – płęć bohatera**
94 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Na własne oczy

- 100 Hanna Jarząbek **Naddniestrze – nieodległe parapaństwo**

Stałe rubryki

- 5 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia
- 48 Przegląd informacji rynkowych
- 78 Afisz
- 95 Passent
- 96 Stomma
- 97 Tym
- 98 Do i od redakcji
- 99 Fusy
- 106 Polityka i obyczaje



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Pielgrzymka wiadomo kogo

Podczas pielgrzymki środowisk narodowych na Jasną Górę ksiądz Grządko z Gorzowa Wlkp. ujawnił, że pod znakiem tęczowej flagi próbuje się dziś okraść Polaków z konkretnych wartości wewnętrznych, a w zamian „proponuje się nie wiadomo co, nie wiadomo w imię czego”. Trudno się z ks. Grządkiem zgodzić, dlatego dobrze, że PiS na ofensywę nie wiadomo czego reaguje ostro, wprowadzając w Polsce wiadomo co i wiadomo w imię czego. Uważam, że proponowane przez PiS wiadomo co jest dla Polaków o tyle korzystniejsze od nie wiadomo czego, że nie tworzy męczącego stanu niepewności i nieuzasadnionych oczekiwań.

Po co np. minister kultury ma dawać pieniądze na przedsięwzięcia artystyczne lansujące nie wiadomo jakie wartości, jeśli może je dawać na przedsięwzięcia stojące na gruncie wartości, które on sam reprezentuje. Albo czy jest sens, żeby sędziowie wydawali nie wiadomo jakie wyroki w imię nie wiadomo czego, skoro dzięki zmianom ministra Ziobry mogą wydawać wiadomo jakie wyroki w imieniu Prawa i Sprawiedliwości. A wszystko przy pełnej akceptacji sędziów z nowej Krajowej Rady Sądownictwa, którzy do brze wiadomo kim i z czyjego nadania są (choć, niestety, nadal nie wiadomo, kto konkretnie pisemnie poparł ich kandydatury). Do niedawna było wiadomo, że instytucja małżeństwa polega



na związku mężczyzny i kobiety, którego celem jest posiadanie dzieci. Dzisiaj wmawia się nam, że małżeństwo nie jest już tym, o czym wiemy, że jest wiadomo czym, gdyż może być np. związkiem mężczyzny z mężczyzną lub kobiety z kobietą. Dowiadujemy się ponadto, że kobieta będąca od wieków wiadomo czym, jeśli nie chce, może nie być kobietą, tylko mężczyzną, który z kolei – jeśli nie ma ochoty być sobą – może zostać kobietą.

Z ostatnich badań wynika, że nawet legendarny bohater Kazimierz Pułaski nie może już być tym, kim wiadomo, że był, gdyż miał kobiecą miednicę i cechy obojnak.

Zadaniem dorocznej pielgrzymki narodowców jest powstrzymanie mrocznych sił tolerancji dla nie wiadomo kogo w imię nie wiadomo czego. „Tolerancja nie jest najwyższą wartością. Szanujemy każdego człowieka, ale nie ma zgody na zło” – wyjaśnił ks. Grządko. Obawiam się jednak, że zło takie jak tolerancja może nie chcieć się autorytetowi ks. Grządka podporządkować, dlatego zgadzam się z przedstawicielami środowisk narodowych, że w przerwie pomiędzy jedną pielgrzymką a drugą warto skrzyknąć się, uzbroić w twarde argumenty i urządzić zło wiadomo co.

Kadzidło i ligawka



Jerzy Baczyński

Do strajku szkolnego jednak doszło, czyli jest dokładnie tak, jak przewidywaliśmy przed tygodniem, pisząc, że „gra rządu staje się nader czytelna”, że będzie mianowicie separatystyczne porozumienie z Solidarnością oraz „operacja dyskredytacja” wymierzona w ZNP i strajkujących nauczycieli. Tego, że do żadnej ugody nie dojdzie, można się było spodziewać, obserwując choćby przebieg kolejnej sobotniej konwencji wyborczej PiS, tym razem w kurpiowskim Kadzidle. Jarosław Kaczyński w ogóle nie odniósł się do groźby strajku, jakby sprawa rozgrywała się w jakiejś innej rzeczywistości. Albo jakby był pewien, że w miarę przedłużania się strajku zdoła skutecznie zwrócić rodziców przeciw nauczycielom. Na tym etapie kampanii bezwzględnym priorytetem stała się mobilizacja wiejskich wyborców, których jest przecież 20 razy więcej niż nauczycieli. Nie dziwi więc, że prezes po tym, jak w poprzedni weekend nazwał PiS „partią wolności”, teraz przedstawił swoje ugrupowanie jako jedyną prawdziwą „partię polskiej wsi”. Co zaskoczyło, to zdumiewająca forma konwencji – na pograniczu groteski.

Nie chciałbym nadmiernie ironizować, bo kampania, jak mówią, ma swoje prawa i służy ogólnie do ogłupiania elektoratu. Jednak ta wersja „dla wsi” była mocno żenująca. Demonstracja najczystszej paternalizmu: oto władza zajęła na Kurpsie (jak językowo przypochlebiał się prezes); na sali chłopcy i młodzież, przebrani w ludowe stroje; czapkujący gościom, odziani w sukmanę lokalny wójt; zespół folklorystyczny przygrywający na ligawkach (ludowy instrument, nomen omen, dęty) i prezenty przywiezione przez „państwo ze stolicy”.

Przebojem weekendu stała się zapowiedź przyznania „500 plus na każdą krowę” i „100 plus na każdą świnię”. Pod warunkiem że będą to polskie krowy i polskie świny. Prezes nie bardzo potrafił być precyzyjny w tych zapowiedziach, stąd ogólnie dość komiczny efekt, wzmocniony zaskakującym żartem: „wyborcza kielbasa już została zaprezentowana”. W konwencji 500 plus wpisał się też, występując jak zwykle po prezesie, premier Morawiecki, obiecując „500 tysięcy plus” dla małych przetwórci i „500 tysięcy euro plus” dla grup producenckich. Zdaje się, że wszystkie te beneficje miałyby pochodzić z pieniędzy unijnych, które PiS „umiejętnie wywalczy” w Europie. Oczywiście szykujący się do strajku nauczyciele zaraz skontrolowali, że oto dostali właśnie ofertę 1000 zł, czyli „zrobić dziecko, kupić krowę”. Tak to zabrzmiało.

Jednak na konwencji w Kadzidle warto też popatrzeć nieco szerszej. W najnowszym wydaniu naszego publicystycznego kwartalnika „Niezbędnik Współczesny” (przy okazji polecam) jest poruszający wywiad z prof. Jerzym Wilkinem z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN, jednym z najwybitniejszych w Polsce znawców i badaczy wsi. Profesor potwierdza, że PiS ma duże poparcie wśród mieszkańców wsi, głównie z powodu 500 plus, ostentacyjnego katolicyzmu i polityki godnościowej. Lecz jeśli chodzi o politykę rolną rządu, jest klęska. „PiS zabetonował fatalną strukturę polskiego rolnictwa, gospodarstwa są za małe i nie mogą się powiększać”, gdyż rząd zahamował obrót ziemią. „Nowoczesne gospodarstwa rolne przedstawia się w złym świetle”, wracając do retoryki walki z kułactwem, „choć przy obecnej mechanizacji gospodarstwo rodzinne może mieć nawet tysiąc hektarów”.

Obecne rozdrobnienie powoduje m.in., że wielkie sieci handlowe i dyskonty importują żywność (przeciwko czemu protestuje radykalny związek AgroUnia), ale władza, poza gadaniem, nie robi nic, aby temu przeciwdziałać.

Co więcej, zauważa profesor, „nikt na unijnych forach nie zabiega o sojusze” w sprawie przyszłych funduszy dla rolnictwa, „naszego głosu w Brukseli nie słychać”. Jest więc tak, że większość „rolników” bierze, póki dają, 500 zł unijnych dopłat do hektara (znów to 500 plus), „ale po marchew czy ziemniaki idą do dyskontu”. PiS utrzymuje na wsi skansen, uzależniając miliony ludzi od dotacji unijnych i budżetowych. W ten sposób (to już ja dopowiadam) hoduje sobie przyszłych wyborców. Idealna wieś według PiS to byłoby parę kurek, świnek i krowek własnego chowu, zakupy w geesie, czekanie na pekaes i na przekaz z pieniędzmi, plus może folklor, cepelia i ligawki. Tak to pewnie prezes sympatycznie zapamiętał z dzieciństwa.

Jarosław Kaczyński, idąc do władzy, zapewne szczerze wierzył w swoją sprawczość, dziejową misję, w przełamanie „imposybilizmu” administracji, w wielkie, według własnego projektu, przeoranie państwa. W czwartym roku sprawowania rządów ta ambicja legła w gruzach. Był „złoty róg”, czyli pełnia władzy, została, powiedzmy, ligawka. Wszystko zawiodło, a chyba najbardziej przekonanie, że wystarczy stworzyć jeden centralny ośrodek dyspozycji oraz rozmieścić lojalnych wykonawców we wszystkich dostępnych instytucjach państwa. Materia okazała się zbyt oporna? Ludzie niekompetentni i pazerni? Program zmian źle pomyślany i zaplanowany? Zewnętrzna i wewnętrzna opozycja zbyt silna? Wszystko jedno: żadna dobra zmiana się nie dopełniła, przeciwnie, dramatycznie obniżyła się jakość państwa. Po kolei, już tylko hasłowo. Edukacja – protesty i chaos. Sądownictwo – konflikt na całą Europę i wszystkie wskaźniki sprawności gorsze, niż były. Wojsko – rozbrojone. Smoleńsk – żadnego dowodu na zamach, wrak nadal w Rosji. Plan Morawieckiego – z wielkich inwestycji zostały bajania, a w reálu wygolenie kawałka Mierzei Wiślanej. Mieszkaniec plus – nic. „Wstawanie z kolan” – izolacja plus seria kompromitacji w polityce zagranicznej. Kultura – minister Gliński. A media publiczne? Służba zdrowia? I tak punkt po punkcie.

Żeby uzasadnić trwanie przy władzy, PiS-owi została w rękach już tylko czysta, sucha technologia polityczna: jawne kupowanie głosów na wielką skalę, nawet nieudające jakiegokolwiek polityki czy „programu”; wojny światopoglądowe, szczucie na przeciwników politycznych, niepohamowane obietnice, zmasowana propaganda, prokuratura, służby specjalne. To może wystarczyć, aby wygrać, bo decydująca „środkowa” grupa wyborców jest labilna, niezorientowana, wrażliwa na sygnały ostatniej fazy kampanii. Ale wobec gruzowiska, jakie pozostawia po sobie „dobra zmiana”, przed opozycją, która wreszcie rozpocznie własną kampanię wyborczą (więcej s. 22), otwiera się rozległe pole dla własnego programu rekonstrukcji państwa. (Pisze o tym ciekawie Michał Sutowski na s. 27). Bo nawet jeśli PiS sam się zaorze, to opozycja i tak musi posiać.

Jan Koza



© JAN KOZA

Gospodarze z Wiejskiej

Do końca marca wszystkie partie polityczne, zgodnie z ustawowym obowiązkiem, musiały złożyć w Państwowej Komisji Wyborczej sprawozdania finansowe. Ile pieniędzy zebrały dwa największe ugrupowania, od kogo je pozyskały i na co je wydały?

Partii politycznych nie obowiązuje ustawa o zamówieniach publicznych. Nie muszą organizować przetargów, mogą dawać zlecenia zaufanym firmom – i tak zresztą od lat robią. PiS np. wydaje krocie na ochronę prezesa, a także (z Funduszu Ekspertkiego) na wynagrodzenia specjaliści od wizerunku i sondaży Piotra Agatowskiego – aż 822 tys. zł. Platforma również podjęła współpracę z ekspertem od komunikacji – w tym wypadku z byłym wicenaczelnym „Faktu” Janem Domaniewskim, który wystawił partii faktury opiewające na kwotę 285 tys. zł.

PO w ubiegłym roku zebrała od swoich członków i sympatyków w sumie trochę ponad milion złotych. O wiele bardziej hojni i zdyscyplinowani byli akolici PiS, bo w sumie wpłacili na działalność partii (nie wliczając pieniędzy na fundusz wyborczy) ponad 2,5 mln zł. PiS, odkąd doszedł do władzy, lokuje swoich ludzi w państwowych spółkach, a ci



© PIOTR MOLECKI/EAST NEWS

chętnie wpłacają do partyjnej kasy. Szczególnie wymowne jest porównanie ubiegłorocznych wpłat z tymi z 2014 r., czyli z czasu, kiedy partia Kaczyńskiego była jeszcze w opozycji – od swoich członków i sympatyków zebrała wówczas o milion złotych (!) mniej niż w 2018 r.

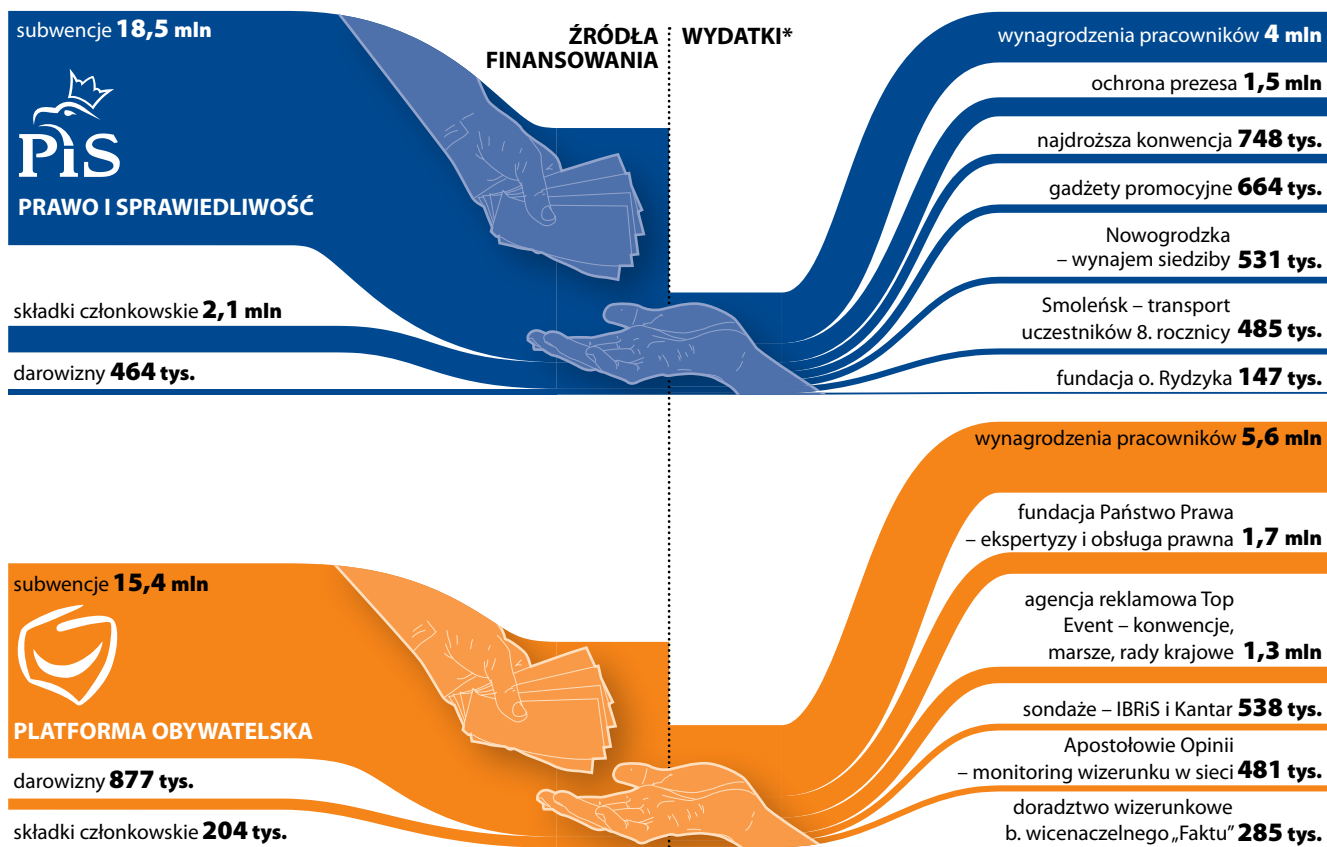
Także poszczególne przykłady dobrze ilustrują, jak PiS pozyskuje dodatkowe pieniądze. Darowiznę – 19 tys. zł – wpłacił Ryszard Wasilek, który za obecnej władzy

awansował na wiceprezesa Zarządu PGE. Violetta Porowska wpłaciła partii 30 tys. zł, a Dariusz Stefaniuk – 27 tys. zł. Porowska jest wicewojewodą opolskim, zaś Stefaniuk, który w ostatnich wyborach samorządowych przegrał walkę o reelekcję na urząd prezydenta Białej Podlaskiej, na pocieszenie został wicemarszałkiem województwa lubelskiego. Robert Bugaj, który od 2016 r. jest dyrektorem Podkarpackiego Oddziału Wojewódzkiego NFZ w Rzeszowie, na konto PiS przełał 2,6 tys. zł. Natomiast Wojciech Jasiński, prezes Orlenu w latach 2015–18 – 6 tys. zł. Swoimi oszczędnościami chętnie dzieli się z partią także Mateusz Morawiecki. To rekordzista jeśli chodzi o wpłaty na bieżący rachunek partii – zrobił 12 przelewów po 999 zł, czyli do partyjnej kasy dorzucił 11,98 tys. zł. Za to Janina Goss – przyjaciółka prezesa PiS, która ratowała go pożyczkami i zasiada w radzie nadzorczej PGE, a także w zarządzie Srebrnej – wpłaciła na partię tylko obowiązkowe składki (łącznie 240 zł) i ani grosza więcej. To i tak więcej niż Jarosław Kaczyński, który w ogóle składek na swoją partię nie płaci. (DAB.)

Wydatki najbardziej zasobnych partii: PiS i PO szczegółowo opisujemy na naszej stronie internetowej: www.polityka.pl

Skąd partie mają pieniądze i na co je wydają

(kwoty w złotych)



*Wybrane wydatki partii w 2018 r. na podstawie sprawozdań złożonych w PKW



Egzamin prezesa

Jarosław Kaczyński, prezentując swoją „piątkę”, popełnił istotny intelektualny błąd: wziął pod uwagę wyłącznie głosodajność, ale nie uwzględnił głosograbstwa.

W ramach rozmów „ostatniej szansy” PiS przedstawił nauczycielom propozycję „nowej umowy społecznej dla oświaty”, której łatwo wyliczalne konsekwencje polegają na obniżeniu średniej stawki godzinowej i poważnych redukcjach zatrudnienia, co było – jak w „Klubie Pickwicka” mawiał Sam Weller – obelgą połączoną z obrazą. Nauczyciele zareagowali w sposób łatwy do przewidzenia i od 8 kwietnia zapowiedzieli strajk.

Mamy trzy podmioty współtworzące sytuację: PiS i jego rząd, nauczycieli zrzeszonych w związkach oraz opozycję polityczną. Zastosujmy do nich koncepcję działań celowo-racjonalnych Maxa Webera, kiedy to działający orientuje się na „cel, środki i skutki uboczne oraz rozważa przy tym racjonalnie środki w odniesieniu do celów, jak i w odniesieniu do skutków ubocznych, podobnie jak możliwe różne cele”.

Zorganizowani w związki nauczyciele są jak jeź z greckiego poety Archilocha, który „wie jedną rzecz, ale niemałą”. Co wiedzą nauczyciele? Otóż wiedzą oni, że prosili, a nie było im dane, natomiast PiS w ramach „piątki Kaczyńskiego” dał 40 mld zł tym, którzy nie prosili. Wiedzą też, że PiS daje tym, na których głosy w wyborach nie może liczyć tylko wtedy, kiedy ma nóż na gardle. Nauczycieli ich tego mundurówi, którzy przed 11 listopada gremialnie pochorowali się na gripę i swoje wyrwali. Wiedzą też, że tuż przed wyborami władza jest na presję wyjątkowo tkliwa, a oni dysponują potężnym narzędziem nacisku. Chodzi o dwie kluczowe sprawy. Po pierwsze, ich współdziałanie jest niezbędne dla niezakłóconej reprodukcji społecznej, której istotnym elementem jest gładkie przechodzenie kolejnych roczników przez cykl szkolny – czyli egzaminy. Po drugie, z tej racji, że zapewniają dzieciom i młodzieży opiekę w godzinach pracy, uczestniczą w tworzeniu spokojności porządku życia codziennego. Dzieci i młodzieży w wieku szkolnym jest obecnie ok. 5,1 mln. Założmy, że strajk obejmie 60 proc. szkół, co znaczy, że ponad 3 mln dzieci będzie pozbawionych opieki w czasie, kiedy ich rodzice pracują. Grzeją się zatem telefony, trwają ustalenia, kiedy i na jak długo babcie, dziadkowie, wujkowie, ciotki przejmą opiekę nad dziećmi. Uaktywniają się też sąsiedzko-rodzicielskie spółdzielnie, w ramach których ustalana jest samopomoc w przywożeniu i odwożeniu dzieci do i ze szkoły. Spokojność życia codziennego zostaje w sposób maszynowy zaburzona. A kto za to odpowiada? Ci, którzy rządzą. Oczywiście propaganda pisowska może starać się zwrócić część społeczeństwa przeciw nauczycielom, ale nie jest to silny nacisk. Nauczycielskie związki zawodowe nie wystawiają swoich list w wyborach. A PiS wystawia. Celowa racjonalność podpowiada nauczycielom jedno: jeżeli teraz nie wyciśniemy tego, co nam się należy, to najprawdopodobniej nie wyciśniemy nigdy. Po jesiennych wyborach skończy się czas tkliwości jakiegokolwiek rządu na presję społeczną, bo 40 mld zostało rozdane... i będzie po wyborach.

Opozycja ma łatwo, bo od niej nic nie zależy. W perspektywie wyborczej nie sieje, a samo jej rośnie. Wystarczy, że będzie się troskać, deklarować, że nauczycielom się należy, apelować do rządu o to, by wyszedł im naprzeciw, bo jak nie, to i on, i PiS odpowiada

za stan wzburzenia i niepokoju, który w wyniku strajku obejmuje miliony dzieci (które nie głosują) oraz miliony ich rodziców, babć, dziadków, wujków i ciotek, którzy głosują jak najbardziej.

Najtrudniej ma PiS i będący tępym narzędziem lokatora Nowogrodzkiej rząd. W ramach racjonalności instrumentalnej nie może w kryzysie, który sam wywołał, podjąć decyzji, na której coś zyska; może podejmować tylko decyzje, przez które straci możliwie najmniej, natomiast brak przesłanek i kryteriów, dzięki którym w sposób racjonalny można by dokonać takiego bolesnego wyboru. Polityczna koncepcja stojąca za tzw. piątką Kaczyńskiego była prosta: oderwać decyzje redystrybucyjne od jakkolwiek rozumianej polityki gospodarczej, finansowej, społecznej i oświatowej, i uznać, że jedynym kryterium przydziału środków finansowych grupom społecznym jest ich głosodajność w zbliżających się wyborach.

Prezes PiS podejmował decyzje w ramach weberowskiej racjonalności celowej, ale popełnił istotny intelektualny błąd: wziął pod uwagę wyłącznie głosodajność, ale nie uwzględnił głosograbstwa. Chodzi o to, że grupy, które otrzymały od władzy politycznej dodatkowe przydziały redystrybucyjne, mogą w jakimś zakresie odwdziżyć się głosami; jednakże rzecz się komplikuje, bo inne grupy, których dobrze uzasadnione roszczenia do poprawy sytuacji materialnej zostały bez dobrego uzasadnienia odrzucone, mogą nie tylko same zagłosować na przeciwników politycznych danego rządu, ale też podjąć działania, które odwożąc będą od głosowania na partię rządzącą grupy labilne wyborczo i letnich sympatyków władzy. To właśnie robią nauczyciele: oni strajkują, a odpowiedzialność za zakłócenie reprodukcji społecznej i zburzenie spokojności porządku dnia codziennego milionów Polaków spada na rząd PiS, bo na koniec dnia odpowiadają zawsze ci, którzy rządzą.

Strajk się rozpoczął. Jeśli rząd nie przedstawi nauczycielom poważnej propozycji – co go zakażenie – to na jego trwanie PiS może wyłącznie wyborczo tracić: nauczyciele poczuli krew i mogą dociągnąć aż do czasu po maturach. Jeżeli po nieprzeprowadzonych egzaminach w kwietniu rząd wystąpi z poważną propozycją negocjacyjną, to PiS też sporo straci, bo obywatele zadadzą sobie pytanie: a nie można było wcześniej, po co była ta cała awantura? Jedynym celowo racjonalnym działaniem naczelnika z Nowogrodzkiej byłoby nakazanie wywieszenia przez PiS i rząd białej flagi najdalej do wtorku 9 kwietnia.

Znając dotychczasowy modus operandi PiS, jest to wielce prawdopodobne: tak postąpił w sprawie ustawy o IPN i Sądu Najwyższego po wyroku europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. Ale – by wrócić do Maxa Webera – oprócz działań celowo-racjonalnych mamy też chociażby działania afektywne, służące zemście, symbolicznej przewadze, subiektywnemu poczuciu woli mocy. Nie wiadomo zatem, co się stanie. Jeżeli jednak PiS białej flagi przed 9 kwietnia nie wywiesi, to dotrze do nas istotna polityczna informacja: naczelnik z Nowogrodzkiej podpada już pod kategorię politycznego, jakby powiedzieli Rosjanie, sumaszedzkiego.

KOMENTARZ

Koalicja opozycji

Malwina Dziedzic



Biedroni kotem, prezes krową odpowiedzieli na sobotnią konwencję Koalicji Europejskiej. Pierwszy, kolportując w internecie animowany obrazek futrzaka siedzącego przy kranie, drwił, że postulaty KE to lanie wody, drugi w Kadzidle (woj. mazowieckie) obiecywał program „Krowa plus” – czym zresztą skutecznie przekierował uwagę komentatorów na własne ugrupowanie. Ze szkodą dla opozycji, bo jej weekendowy event był sprawnie zorganizowanym i ciekawym preludium kampanii do europarlamentu. Zwołana na warszawskim Żeraniu konwencja była zarazem pierwszym tak dużym wspólnym wydarzeniem skupiającym przedstawicieli wszystkich partii i środowisk (według szacunków organizatorów: 2,5 tys. osób) zebranych przez Grzegorza Schetynę w antypisowską koalicję. Sam lider PO – co też warto odnotowania, ponieważ publiczne wystąpienia dotychczas nie były jego najmocniejszą stroną – miał wyraziste przemówienie, w którym przeciwstawiał państwo PiS praworządnej i obywatelskiej Polsce („państwo jednej zachłannej partii” vs. państwo obywateli; sojusz z Le Pen i Salvini vs. poważna gra z Macronem i Merkel; wycinanie lasów i energetyka oparta na węglu vs. walka ze smogiem). Schetyna nawiązał do wyborów z 1989 r. i przekonywał, że po 30 latach Polacy znów stają przed „wielkim wyborem”. To odniesienie do hasła wyborczego KE: „Przyszłość Polski. Wielki wybór” – dla niektórych zbyt ogólne i kojarzące się z pisowskimi kongresami „Polska – Wielki Projekt”.

Dwa dni przed konwencją przedstawiciele KE zaprezentowali 10-punktowy program, a w zasadzie protokół zbieżności, z którym idą do majowych wyborów. Tak szeroka opozycyjna koalicja jest ewenementem – co dostrzeżono także za granicą – a to niesie ze sobą liczne wyzwania. Stąd te dziesięć, ogólnie słusznych, postulatów to kwestie, co do których trudno się pokłócić (jak walka o lepszą żywność, fundusze unijne, równość czy odbudowanie relacji z krajami UE). Podczas konwencji partyjni liderzy rozwijali poszczególne elementy programu. Szczególne zaciekawienie wzbudziła współprzewodnicząca Zielonych. Akces do KE pozwolił jej partii zaistnieć w tzw. mainstreamie, choć to ugrupowanie z niemal tak długą historią jak PiS i PO. Małgorzata Tracz mówiła o potrzebie współpracy międzypokoleniowej: doświadczonych fachowców i młodych, wychowanych w wolnej Polsce, nie zaś atakowaniu się i wyzywaniu od „leśnych dziadków”. Przekonywała, że to się sprawdza – sama na co dzień współpracuje z Markiem Kossakowskim, starszym o 34 lata współprzewodniczącym Zielonych.

Również przemówienia koalicyjnych „jedynek”, choć nierówne, miały kilka mocnych punktów – jak choćby wzmiankę Janusza Lewandowskiego, że premier Rumunii „oburzyła się za porównanie jej kraju do Polski Kaczyńskiego” („Jesteśmy dziś wstydliwym odniesieniem dla Rumunów” – podkreślał). Grzytem był brak wystąpienia Barbary Nowackiej. Liderka Inicjatywy Polskiej była obecna na konwencji, wciąż jednak czeka na zarejestrowanie partii, co – jak słyszymy w IP – szef SLD wykorzystuje, aby umniejszać jej pozycję. Bo oczywiście wraz z zawiązaniem koalicji dawne niesnaski nie zniknęły, a urażone ambicje dają czasem o sobie znać z każdej strony (problemem jest też mała „szczelność” i liczne przecieki do mediów).

Z wewnętrznych sondaży opozycji wynika, że frekwencja w wyborach europejskich może być nadspodziewanie duża – w niektórych badaniach zbliża się do 50 proc. (dla porównania w 2014 r. wynosiła niespełna 24 proc.). Dla opozycji to może być dobra wiadomość. O ile jej kampanijnych starań nie przykryją kolejne „jarkowe” wrzutki.

Warszawa nie dla Hartmana

PiS zapowiadał, że rozprawi się z liberalno-lewicowymi elitami. Naukowcy o takich poglądach zaczynają mieć problemy.

Na razie nie wyrzucają, ale nie przedłużają kontraktów i nie zatrudniają. O etat profesora na Wydziale Dziennikarstwa, Informacji i Bibliologii Uniwersytetu Warszawskiego starał się prof. dr hab. **Jan Hartman** z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, który z powodów osobistych chce mieszkać i pracować w Warszawie. Dziekan Wydziału Dziennikarstwa prof. dr hab. Janusz Adamowski, aby pozyskać znanego filozofa i bioetyka (także felietonistę i blogera POLITYKI), wystąpił do rektora o rozpisanie konkursu. Powołano komisję i trzech recenzentów: prof. Jerzego Zielonkę z Oxfordu, prof. Janusza Majcherka z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie i prof. Tadeusza Szubka z Uniwersytetu Szczecińskiego. Wszystkie opinie były pozytywne, komisja zarekomendowała go więc Senatowi uczelni, który musi wyrazić zgodę, zanim rektor podpisze umowę o pracę. Zwykle to formalność. Tym razem jednak Senat UW – 32 głosami przeciw – kandydaturę prof. Hartmana odrzucił. Za głosowało zaledwie 12 senatorów.

Co się stało, że UW nie chce pozyskać jednego z najbardziej znanych polskich filozofów? Dziekan Wydziału Filozofii i Socjologii prof. Mieszko Tałasiewicz, zalecając Senatowi głosowanie przeciw, zarzucił Hartmanowi, że zgodnie z jego własną deklaracją nie zamierza występować o granty. Wydawać by się mogło, że to dobrze, gdy filozof nie chce dodatkowych publicznych pieniędzy, aby pisać swoje książki. Jednak nie dla uczelni, która na nim nie zarobi, bo od każdego grantu przyznanego badaczowi uczelnia pobiera „marżę”. – Nie wmontowuję



© ADAM GOLEC/FORUM

się w aktualny, technokratyczny i merkantylny system – mówi Hartman. – Funkcją profesora filozofii, poza samym uprawianiem filozofii i kształceniem młodzieży, jest prowokowanie fermentu intelektualnego, inspirowanie opinii publicznej. Niestety dziś na naszych uczelniach nie ma miejsca dla intelektualistów, a już zwłaszcza dla wolnomyślicieli. Potrzebni są naukowcy przynoszący punkty i granty. Zostałem odepchnięty przez kolegę-filozofa, który doskonale rozumie, kim jest i co robi filozof, a ponadto zna nasze środowisko i wie, jaka jest moja pozycja w polskiej filozofii. Wkroczył w moje życie, by mi bezinteresownie zaszkodzić. To smutne i żałosne.

Konserwatyście, którym jest prof. Tałasiewicz, ferment intelektualny, jaki wzbudza swoimi publicznymi wypowiedziami prof. Hartman, pewnie nie za bardzo odpowiada. Ale na ten temat na posiedzeniu Senatu nie padło nawet słowo. Za to dziekan krytycznie wypowiedział się o dorobku naukowym krakowskiego kolegi. – Mam wrażenie, że profesor Hartman jest karany za bezkompromisowe i ostre wypowiedzi w przestrzeni publicznej – mówi prof. Zbigniew Mikołajko.

Kwestia oceny dokonań naukowych jest zawsze subiektywna. „Jako filozof bardzo nisko oceniam dorobek akademicki prof. Hartmana” – mówił obecny szef resortu nauki i szkolnictwa wyższego Jarosław Gowin, magister filozofii z doktoratem z nauk politycznych, zanim jeszcze został ministrem. Pokażna liczba publikacji (16 książek) prof. Hartmana powinna świadczyć na jego korzyść, zatem być może minister Gowin i prof. Tałasiewicz nie podważają ich treści. – Wydaje mi się, że prof. Tałasiewicz zajmuje się zupełnie inną dziedziną filozofii niż prof. Hartman, którego dorobek ocenili przecież pozytywnie trzej recenzenci – kwituje prof. Andrzej Leder. (AS)

Więcej, w tym o przypadku dr. hab. Jacka Dobrowolskiego, na: www.polityka.pl

KOMENTARZ



Najdłuższy sojusz świata

Adam Krzemiński

NATO kończy 70 lat. Czy nadal sprawia, że „Amerykanie są w środku, Rosjanie na zewnątrz, a Niemcy pod kontrolą”?

Taki sens tworzenia Sojuszu w kwietniu 1949 r. wyraził jego pierwszy sekretarz generalny, brytyjski generał Hastings Ismay. No więc, czy Amerykanie są wciąż w środku? Donald Trump jest pierwszym prezydentem USA, który zasiał wśród Amerykanów wątpliwości, czy NATO w ogóle jest dla nich przydatne. Jego pogroźkom, że pozostawi Europejczyków sam na sam z Rosją, na szczęście jeszcze nie towarzyszą czyny, ale podważa wiarygodność sojuszu i kusi Moskwę do dalszych prowokacji. Zatem utrzymanie Amerykanów w Europie znów staje się istotą NATO. Tak jak jest nią utrzymanie Rosji na dystans.

Moskwa złamała układ z 1988 r. usuwający z Europy pociski rakietowe średniego zasięgu. Na co Trump zapowiedział to samo. Dwaj amerykańscy eksperci wojskowi, Elbridge Colby i Walter Slocombe, tłumaczą jednak w „Frankfurter Allgemeine Zeitung”,

że tym razem zadaniem Sojuszu jest nie tyle ustawianie rakiet sięgających w głąb Rosji, ile szybkie zablokowanie ewentualnej ograniczonej rosyjskiej inwazji na kraje bałtyckie. W odróżnieniu od lat 80. rozbudowa natowskiego systemu rakietowego i antyrakietowego jest nieprzydatna. Nawet najnowsza generacja rakiet nie rozwiązuje problemów obrony terytorium wschodnich krajów NATO, ponieważ i militarnie, i geograficznie Rosja ma tam przewagę.

A co z Niemcami? Nikt już ich nie chce trzymać pod kontrolą, „choć nie tylko Polacy są zadowoleni z tego, że Niemcy są mocno zakotwiczone w UE i NATO”, pisze „FAZ” i jednocześnie podkreśla, że „Niemcy na liście mocarstw militarnych chcą być tak daleko, jak się tylko da”. Czy przy tym oszukują Sojusz w sprawie wydatków na zbrojenia, jak twierdzi ambasador USA w Berlinie Richard Grenell? To prawda, że Niemcy wydając 1,37 proc. PKB na zbrojenia, są daleko od zadeklarowanych 2 proc. Ale prawdą jest też, że w 2018 r. tylko jedna czwarta państw Sojuszu dotrzymała tej umowy. A niektóre wliczają także wydatki nie niewnoszące do obrony Europy, jak brytyjskie koszty stacjonowania na Falklandach, amerykańskie zaangażowanie poza Europą czy francuskie nakłady na policję. A wydatki Niemiec powoli, ale jednak rosną.

Dla Polski najważniejsza powinna być spójność NATO, a więc dobre relacje Warszawy nie tylko z Waszyngtonem, ale także Paryżem i Berlinem. Sama Ameryka – w wypadku rosyjskiej agresji – nie jest w stanie dać Polsce i krajom bałtyckim wiele więcej niż brytyjskie gwarancje w 1939 r.

Nowy Kiska

Kiska, który w czerwcu przekaze władzę Zuzanie Čaputovej, postanowił zostać w polityce i stanąć na czele zakładanej partii.

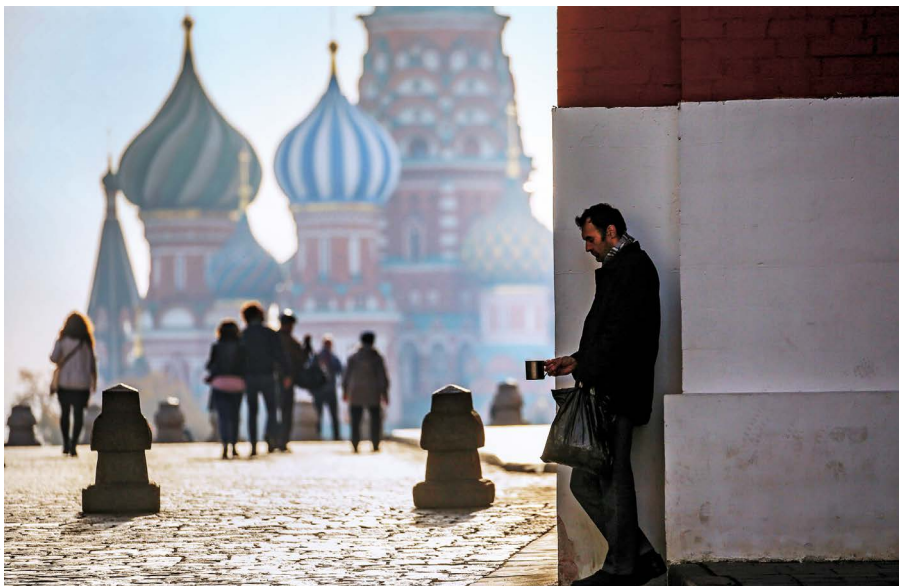
Ustępujący prezydent Słowacji **Andrej Kiska** zaskoczył wszystkich i ogłosił, że zakłada partię polityczną. Tym samym demokraci w tym kraju postanowili pójść za ciosem i odsunąć nacjonalistów i populistów od władzy. Kiska w czerwcu przekaze władzę **Zuzanie Čaputovej**, którą poparł w kampanii. Łączy ich styl i program polityczny: Kiska przez ostatnich pięć lat był jedynym gwarantem praworządności w kraju, traktowanym jak prywatny folwark przez populistyczną partię SMER. Jej hegemonię złamała dopiero ubiegłoroczna fala demonstracji po tym, jak na zamówienie powiązanej z rządzącymi grupy przestępczej płatni zabójcy zamordowali dziennikarza Jána Kučiaka i jego narzeczoną Martinę Kušnírovą. SMER jednak nadal prowadzi w sondażach.

Kiska mógł ubiegać się o drugą kadencję, którą by prawdopodobnie wygrał. Odmówił i to mimo próśb środowisk



przerażonych narastającymi w kraju tendencjami autorytarnymi. Twierdził, że to z powodów rodzinnych – ponoć żona po pierwszej kadencji miała dość nieustannej szarpaniny i wymogła na nim wycofanie się z polityki. Najwyraźniej wszystko zmieniło zwycięstwo Čaputovej. W sondażach nagle wystrzeliła jej partia Progresywna

Słowacja. Kilka dni później Kiska postanowił zostać w polityce. Więcej szczegółów na razie nie podał. Jeśli obecny rząd SMER wytrzyma do regularnych wyborów w przyszłym roku (co wcale nie jest takie pewne), a trend wzmacniający demokratów się utrzyma, to Słowacy mogą po ośmiu latach pozbyć się rządu populistów.



© EPA/PAP

Przednówek statystyczny

Co piąty Rosjanin chciałby na stałe opuścić ojczyznę, ogłasza ośrodek Gallupa. To najwyższe wskazanie od ponad dekady. Z kolei oficjalny urząd statystyczny Rosstat podał rezultaty przeprowadzanego co dwa lata badania jakości rosyjskiego życia, podpowiadającego, co może skłaniać do wyjazdów. Rozgłos danym zapewnił rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow, który nieudolnie próbował umniejszyć znaczenie kłopotliwego raportu.

Nawet państwowi statystycy nie potrafią dostarczyć wyników, które osłodziłyby przednówek. Zaufanie do prezydenta Władimira Putina jest najniższe od kilkunastu lat, sięga ledwie 30 proc. Co prawda poparcie dla jego działań wciąż deklaruje ponad 60 proc. rodaków, ale historycznie rzecz biorąc to poziom alarmowy. Nastroje są gorsze, bo od pięciu lat konsekwentnie spadają realne dochody Rosjan. Swoje zrobiły przeceny na światowym rynku naftowym, tradycyjnie nierówny podział majątku i w jakimś stopniu międzynarodowe sankcje gospodarcze za inwazję na Ukrainie.

Według Rosstatu 80 proc. rodzin ma kłopot, by związać koniec z końcem. Ponad połowa nie odłożyła funduszy na czarną godzinę. Dla jednej trzeciej luksusem jest druga para butów. Co dziesiąta rodzina nie może sobie pozwolić na podstawowe lekarstwa, wymianę zniszczonych ubrań albo zakup mięsa czy ryb co dwa dni itd. Gdzieś jednak poprawę. Przed dwoma laty na tygodniowe wakacje, nawet u krewnych, nie miało szans 54 proc. rodzin – teraz 49 proc. Zwiększa się także liczba toalet, choć na wskaźnik 38 proc. rodzin zdanych jest na korzystanie z wygodek.

Gołębiomania

Chińscy milionerzy, którzy ulegli modzie na trzymanie gołębi, dyktują ceny ptaków.

Sino-popielaty Armando został najdroższym gołębiem pocztowym kupionym na aukcji internetowej. W marcu nabywca z Chin zapłacił za niego 1,25 mln euro, równowartość 5,3 mln zł. Cenę wywindowała renoma belgijskiego hodowcy, a Belgia to kolebka sportu gołębiarskiego. Wrażenie zrobiły wyniki osiągnięte przez Armando w lotach dalekodystanowych. Wracał do domu szybciej od pozostałych uczestników wyścigu, co ma być efektem kondycji, silnych skrzydeł i świetnej orientacji w terenie. Do rekordu potrzebny był jeszcze gołębiarz gotowy wyłożyć fortunę za pierzastego lotnika.

Ceny czempionów pokroju Armando dyktują ci chińscy milionerzy, którzy ulegli modzie na trzymanie gołębi. To nie tylko niewinne hobby, ale i zacięta rywalizacja o najlepsze ptaki, nakręcająca spiralę spekulacyjną. Najdroższego dotąd gołębia pocztowego sprzedano zeszłej jesieni w Pekinie za 2,78 mln euro (12 mln zł!). Chińczycy wnieśli zawody gołębiarskie na wyższy poziom, włączając w nie intensywny hazard, napędzany przez milionowe nagrody dla zwycięzców.

Pięcioletni Armando przechodzi na emeryturę. Prawdopodobnie nie będzie się ścigał, ponieważ starty wiążą się z szeregiem niebezpieczeństw: można się zgubić, paść ofiarą drapieżnika lub zderzyć się z linią energetyczną lub ścianą. Głównym zadaniem Armando będzie więc udział w hodowli i przekazanie genów kolejnym pokoleniom. Gołębie wyścigowe dystanse kilkuset kilometrów pokonują z przeciętną prędkością ok. 80 km/h, czyli w tempie nieosiągalnym dla tradycyjnej poczty.

Kobieta w Wietrznym Mieście

Chicago, trzecie największe miasto w USA, pierwszy raz wybrało na burmistrza kobietę, w dodatku czarną. 56-letnia **Lori Lightfoot** to jawna lesbijka, prawniczka i była prokurator federalna, która z nominacji ustępującego burmistrza Rahma Emanuela badała okoliczności głośnego zabójstwa murzyńskiego nastolatka przez białego policjanta. Jej komisja oskarżyła policję o złe traktowanie Afroamerykanów i wezwała do reform. W swej kampanii Lightfoot obiecywała walkę z dyskryminacją rasową, obronę interesów ubogich i poprawę bezpieczeństwa mieszkańców.



© GETTY IMAGES

WUSA coraz więcej kobiet, w tym czarnych, obejmuje stanowiska w legislaturach stanowych i lokalnych. W ratu szach największych miast afroamerykańskie kobiety są wciąż niedoreprezentowane, ale burmistrzów z mniejszości rasowych ostatnio przybyło. Lightfoot stoi jednak przed karkołomnym zadaniem. 2,7-milionowa metropolia to miasto chore. Szaleje tam korupcja i przestępczość – w 2016 r. było 762 zabójstw, najwięcej w ostatnich 20 latach – a z braku pracy czarni mieszkańcy migrują do innych miast i stanów. Nadzieje związane z burmistrzem Emanuelem nie spełniły się. Tymczasem lewica demokratów narzeka, że Lightfoot – wybrana głosami także białych wyborców – nie jest dość radykalna, jako była prawniczka korporacyjna sprzyja bogaczom, popierała w mieście gentryfikację, a jej plany zwiększenia liczby policjantów nie wróżą dobrze Afroamerykanom. W efekcie może raczej utrwalić status quo niż uzdrowić miasto.



Szkoły stanęły

JOANNA CIEŚLA

Rządowi nie udało się podzielić ani przestraszyć nauczycieli. Strajk ruszył i objął zdecydowaną większość szkół i przedszkoli.

MEN liczyło po swoim. W statystykach uwzględniono m.in. bursy i ośrodki wychowawcze. Dzięki temu można było podać, że do strajku nauczycieli przystąpiło 48,5 proc. szkół i innych placówek oświatowych. Organizatorzy traktowali te dane jako kolejną propagandową zagrywkę władzy. W poniedziałkowy wieczór z niepełnych danych ZNP wynikało, że w proteście wzięło udział co najmniej 60 proc. szkół, przedszkoli i zespołów szkół. Spodziewano się, że odsetek wzrośnie po uzupełnieniu danych z kilku województw. Potwierdzały to wyniki nadchodzące z samorządów: większość placówek oświatowych stanęła. Na przykład w Szczecinie 106 na 139 szkół i przedszkoli przystąpiło do protestu, w Białymstoku 110 na 136, w Radomiu strajkowało 85 proc. nauczycieli szkół podstawowych, podobnie w Rzeszowie.

NIELICZNI na stanowiskach

W Szkole Podstawowej nr 103 na warszawskiej Sadybie na liście strajkujących podpisywanej przy wejściu w poniedziałkowy poranek było ponad 60 nauczycieli. Gotowość do pracy zgłosiło troje. Dyrektor Danuta Kozakiewicz niestrajkującym zleciła prace biurowe, planowanie zajęć na przyszły rok, porządkowanie magazynów. – *Na razie żaden uczeń się nie pojawił. Dostaliśmy z kuratorium list z informacją, że dyrektor jest zobowiązany zapewnić uczniom opiekę i zajęcia, ale ja nie jestem w stanie zagwarantować im bezpieczeństwa. Samorząd jest o tym*

poinformowany. Kilka razy pisałam do rodziców przez dziennik elektroniczny, że nasza kadra niemal w całości przystępuje do strajku – opowiada dyrektorka. Akurat przed szkołą pojawia się grupa dzieci, Danuta Kozakiewicz wychodzi do nich. – *Myślałam, że potrzebna opieka, ale nie. Umówili się tu na zbiórkę przed wyjściem do teatru* – relacjonuje po powrocie. Rodzice w niektórych klasach w SP 103 zaplanowali wymianę urlopów. Każdego dnia wolne biorą cztery osoby, każda zajmuje się szóstką dzieci. W odpowiedzi na tamte maile informujące o strajku dyrektor dostała dwa głosy krytyczne.

Podstawówka z oddziałami gimnazjalnymi w małym mieście w Łódzkiem. Po podwórku biegają dzieci. – *Uczniów jest trójka* – tłumaczy strajkująca nauczycielka. Oprócz niej protestuje ponad 60 osób; czworo nie bierze udziału w strajku, dadzą sobie radę z tym trojgiem uczniów. Reszta biegających to dzieci „prywatne”. Dyrekcja szkoły zgodziła się, by przyprowadzili je strajkujący nauczyciele, jeśli szkoły ich dzieci też są dziś zamknięte.

W Liceum Ogólnokształcącym Mistrzostwa Sportowego w Poznaniu na 130 osób w kadrze strajkuje około setki. Siedzą przy cieście przyniesionym przez panią dyrektor. Trochę się gada, trochę zerkna na TVN. – *Jutro chcę opowiedzieć o NOoE, Naradach Obywatelskich o Edukacji, na kolejne dni inni koledzy mają pomysły tematów do rozmów* – relacjonuje Anna Schmidt-Fic, matematyczka zaangażowana w obywatelski ruch w oświacie, inicjatorka popularnej akcji „Protest z wykrzyknikiem”. – *W naszej szkole długo nie mówiło się otwarcie o strajku, jeszcze w piątek wiele osób się wahało. Teraz słyszę od nich: „Jak mam nie protestować, kiedy dzwonią koleżanki spoza oświaty: »To co, strajkujesz,*

tak? Trzymaj się, macie nasze wsparcie!«". Ale w szkole jest też zgrzyt, w pierwszy dzień strajku odbywa się próbna matura z polskiego. Nauczycielki zapowiedziały ją wcześniej, lecz frekwencja uczniów nie oszałamia (obowiązku podejścia do próbnej matury nie ma). Czuć napięcie. Ktoś z niestrajkujących się rozplakał, że nie wytrzyma psychicznie, od wtorku wpisuje się na listę protestujących.

PRZEGRANA akcja

Do rozmowy z niezadowolonymi z warunków pracy nauczycielami delegacja rządowa wzięła się pod koniec marca, a energicznie od 1 kwietnia. Początkowy postulat ZNP brzmiał: 1 tys. zł dla każdego nauczyciela.

Koncyliacyjna wobec rządu Solidarność początkowo domagała się 650 zł i 15-proc. podwyżek w tym roku i w przyszłym, ale dość szybko uznała, że samo dwa razy po 15 proc. wystarczy. ZNP w końcówce negocjacji zgodził się, aby tysiąc złotych zamienić na podwyżkę 30 proc., nawet wypłacaną w dwóch ratach po 15 proc., ale już w tym roku.

Wyglądało na to, że porozumienie jest blisko. Może wręcz zbyt blisko. W miniony piątek, na ostatniej prostej, dwa dni przed zapowiadany początkiem strajku delegacja rządowa przedstawiła propozycję nowego „paktu dla oświaty”. Wymyślonego w jeden dzień – co wywołało powszechne oburzenie.

Pakt zakładał wydłużenie czasu pracy nauczycieli z 18 godz. do 22 lub 24 tygodniowo, a w efekcie wzrost wynagrodzenia do – jak stwierdzono – ponad 8 tys. zł brutto w 2023 r. Nauczyciele od razu sardonicznie nazwali tę kwotę „trumiennym”, bo było oczywiste, że pomysł oznacza zwolnienia. O zmianie systemu pracy nauczycieli niewątpliwie należałoby rozmawiać, ale z namysłem, powoli i w zupełnie innej atmosferze, podkreślano.

Nagłość i absurd rządowej propozycji z piątku wprawiły więc w osłupienie zarówno tych, którzy przyjęli, że to przejaw zwyczajnego negocjacyjnego partactwa, jak i tych, którzy podejrzewali, że rządowi negocjatorzy od początku sabotowali porozumienie z ZNP. Przeciągnięcie protestu na egzaminy gimnazjalisty i ósmoklasisty daje rządowi szansę na przerwienie na nauczycieli odpowiedzialności za tegoroczny chaos szkolny.

SOLIDARNOŚĆ podpisuje

Na początkowym etapie sporu nauczycieli z rządem jedna z hipotez zakładała, że Solidarność i pisowskie władze współpracują. Tak, by wspólnie tę akcję wygrać – dać nauczycielom podwyżki – niższe niż tysiąc złotych netto postulowane przez ZNP i Forum Związków Zawodowych, ale w miarę zadowalające. Miałoby to pozwolić na spacyfikowanie protestu, pomóc wspólnie zdobyć moralną przewagę, w imię hasła: „rozumiejąca władza i odpowiedzialny związek zawodowy, który racjonalną postawą uzyskuje dla branży korzyści”.

Ta koncepcja nie wypaliła. Co prawda Solidarność podpisała porozumienie z rządem; jest w nim mowa o 15-proc. podwyżkach, a także m.in. o skróceniu ścieżki awansu zawodowego (która została wydłużona w wyniku decyzji Anny Zalewskiej) oraz ustaleniu na 300 zł minimalnej wysokości dodatku za wychowawstwo (który wypłacają samorządy). Temat wydłużenia pensum na razie odłożono. Ale sposób działania i rządowej delegacji, i Solidarności, zamiast uznania i wdzięczności wzbudził jednak wielkie oburzenie. Do strajku dołączyli też szeregowi członkowie Solidarności. W poniedziałek z nieoficjalnych szacunków wynikało, że oświatowa „S” straciła struktury w kilkudziesięciu miastach.

Co teraz będzie z egzaminami? W poniedziałek, w warszawskiej Szkole Podstawowej nr 103 przewidywano, że egzamin dla gimnazjalistów raczej się odbędzie. Dyrektor przyznawała, że gdyby z jej rozmów o sytuacji w innych szkołach wynikało, że od egzaminowania powstrzyma się cały kraj, też

zdecydowałyby się na ten krok. Nie chce jednak utrudniać własnym uczniom życia, stawiać ich w gorszej pozycji niż dzieci z innych szkół. Podobnych zapowiedzi jest więcej. W Liceum Mistrzostwa Sportowego w Poznaniu egzamin dla klas gimnazjalnych, które zostały po niegdyśszym zespole szkół, też raczej się odbędzie.

W podstawówce z gimnazjum pod Łodzią z organizacją może być trudniej, szkoła jest duża, nauczycieli do pilnowania potrzeba sporo. Ale nie ma żadnej pewności, że uczniowie nieprzeegzaminowani będą mieli pod górkę, a z górki ci, których szkoły egzamin przeprowadzą. Dyrektorzy sami przyznają: te strajkowe egzaminy bardzo łatwo będzie unieważnić z powodu nieuniknionych proceduralnych uchybień.

Rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar wystąpił do szefowej MEN Anny Zalewskiej, zwracając uwagę m.in., że według wydanych przez nią przepisów „ratunkowych” pilnować egzaminowanych mogą osoby z kwalifikacjami nauczycielskimi, nawet jeśli nie są zatrudnione w żadnej szkole. A to – podkreśla RPO – nie zgadza się z Kartą Nauczyciela. Do pilnowania zaoferowała się posłanka Krystyna Pawłowicz (z zawodu nauczycielka akademicka). W ostatecznym rozrachunku rząd – próbując jakoby uratować egzaminy i przystępujące do nich dzieci – kolejnymi krokami może tylko pogorszyć ich sytuację i jeszcze bardziej spotęgować chaos. Nawet jeśli wydaje się to dziś trudno wyobrażalne.

INTELIGENCKI sprzeciw się rodzi?

„Teatr Polski wspiera nauczycieli” – taki baner zawisł na gmachu Teatru Polskiego w Poznaniu, który na 8 kwietnia zaprosił dzieci na warsztaty teatralne oraz wykłady na temat tolerancji. Podobną ofertę przygotował sosnowiecki Teatr Zagłębia. Różnorakie deklaracje poparcia nauczycieli składali pracownicy uniwersytetów, lekarze, ratownicy medyczni, stewardesy i piloci LOT, nie mówiąc o organizacjach zrzeszających rodziców uczniów czy samych uczniach. Głębokie zaniepokojenie sytuacją w oświacie wyraził też w weekend Krajowy Zjazd Delegatów Społecznego Towarzystwa Oświatowego, prowadzącego 130 niepublicznych szkół i placówek oświatowych w Polsce. Wymierną pomoc obiecała nauczycielom część samorządów, zapowiadając wyrównanie wynagrodzeń potrąconych za nieprzepracowane dni. Cięcie zarobków to była największa, może obecnie jedyna, nadzieja rządu na zduszenie strajku szkolnego.

Czy kolejne akty poparcia i deklaracje empatii dla protestujących nauczycieli mogą być zarysem większego inteligenckiego sprzeciwu? Przybywa opinii, że tzw. reforma oświaty pośpiesznie likwidująca gimnazja to akt największego partyjniackiego barbarzyństwa od początku transformacji. Że żadna inna dziedzina polskiej rzeczywistości nie została tak spektakularnie zrujnowana. Że stał za tym wyłącznie interes jednego ugrupowania politycznego – realizacja jego populistycznych obietnic, pozyskania kanału do dystrybucji własnej ideologii. Po trzech latach rządów PiS w szkołach nie ma myślenia o tym, jak przygotować młodego człowieka do życia we współczesnym świecie. Są za to archaiczne podstawy programowe. Nie ma już najdynamiczniej rozwijającego się szczebla szkół, którym były gimnazja; są przepełnione podstawówki i licea, na które za chwilę runie podwójna liczba kandydatów. Nie ma czasu na indywidualną pracę z uczniami; jest pogoń za realizacją zadanego materiału. Nie ma sal na zajęcia dodatkowe. Są lekcje na dwie zmiany, są też zdezorientowani, przemęczeni uczniowie i poirytowani, sfrustrowani nauczyciele, którzy właśnie stracili cierpliwość.

W weekend, tuż przed strajkiem, w nauczycielskich grupach w mediach społecznościowych przekazywano sobie bon mot: „Wszyscy mówią nauczycielom, że skoro im się w szkołach nie podoba, to mogą w nich nie pracować. No to nie będą. To się nazywa strajk”.

Rachunek za Smoleńsk

Dzisiaj nie ma już pytania, co się stało pod Smoleńskiem w kwietniu 2010 r. Pytanie brzmi, czy ktoś kiedykolwiek odpowie za to, co ze Smoleńskiem potem zrobiono.

